

Olgierd Budrewicz – *Zwanze*

„Przegląd Kulturalny”

nr 24 z 1962 r.

Można przez długie lata nie opuszczać czterech ścian, a wiedzieć o świecie otaczającym wszystko, chłonać wydarzenia, być ciekawym ludzi. Można dać się przymusowo wyeliminować z aktywnego udziału w życiu, a zachować pogodę ducha i dobroć usposobienia.

1.

Władysław Zambrzycki zmarł przed kilku tygodniami, choć nie byłbym tego tak zupełnie pewien: nadal – myślę – siedzi w fotelu swego mieszkania przy ulicy Międzynarodowej, rozmawia z ukochaną papużką i oczekuje odwiedzin przyjaciół.

Ulica Międzynarodowa stanowi wschodnią granicę Saskiej Kępy, stąd rozciąga się kojący nerwy widok na pola, łąki i działkowe ogródki; kiedyś tymi polami płynęła Wisła. Na przeciwległym brzegu rysuje się front nowych bloków Grochowa, dla większości mieszkańców nieznaną, nieodkrytą jeszcze ziemią.

Na zachód, północ i południe rozciąga się puchnące z roku na rok, coraz to urodziwsze osiedle. Domy, ulice, skwery, które dla Władysława Zambrzyckiego były jak dalekie archipelagi Oceanu Spokojnego.

Na Kępie mieszkają tysiące ludzi, jeżdżących ekspresami, fruwających odrzutowcami – pisarz i dziennikarz Władysław Zambrzycki od lat nie podróżował nawet tramwajem. Po wojnie nie był ani razu w teatrze, a tylko raz powieziono go do kina. Spętany chorobą, cierpiał równocześnie na rodzaj lęku przestrzeni – przeżycia osobiste podcięły mu skrzydła, w pewnych okresach miał nawet siły do poruszania się, ale brakowało mu odwagi.

Był inżynierem-chemikiem z dyplomem belgijskim; w Belgii spędził sześć najlepszych lat swego życia. Miał 26 lat, kiedy w jednym z warszawskich laboratoriów wybuchło mu w dłoniach szklane naczynie; rezultatem wypadku były dwadzieścia dwie rany w twarzy i szklany szuter w oczach. Kluto mu oczy igłami, poszukując odłamków; po wielu tygodniach nieludzkich cierpień opuścił szpital, posiwiasty, z jednym okiem utraconym, a drugim bardzo słabym.

Los nie oszczędził mu później żadnej goryczy, nie wyłączając życia w strachu i głodzie.

Napisał sześć mądrych, pełnych uroku i humoru książek. Krytyka potraktowała je zdawkowo, szufladkując naiwnie do literatury rozrywkowej. Osiągnął mistrzostwo w zawodzie dziennikarskim: operował czystym, nienapuszonym językiem, kipiał pomysłami, zaskakiwał nowatorską formą.

Miał ambicję nieść ludziom radość, kpił bez złośliwości i jadu. Każde jego zdanie mieściło się w konwencji i atmosferze *Colas Breugnon*.

Był człowiekiem skromnym. Tylko nagrodę Miasta Warszawy za *Pamiętnik Filipka* przyjął bez sprzeciwu. Wszystkie inne zaszczyty odrzucał lub traktował z ironią. Kiedy po wydaniu *Naszej Pani Radosnej* rząd włoski przyznał mu wyso-

kie odznaczenie (z którym związane były m.in. darmowe przejazdy wszystkimi środkami lokomocji), a ambasada włoska w Polsce urządziła uroczyste przyjęcie na jego cześć, wyjechał bez słowa z Warszawy.

Pozostawił cztery nieopublikowane utwory sceniczne, m.in. dalszy ciąg *Fircyka w zalotach* i cudny staromiejski *Sen pod zegarem*. Już w szpitalu miał zamiar napisać książkę o chorych i lekarzach pt. *Poradnik zawałowca*.

2.

O swej twórczości i osiągnięciach mówił pan Władysław z lekceważeniem lub nie mówił w ogóle. „Byle się ludzie uśmiechali, to wystarczy” – powiadał zawsze. Do innych pisarzy odnosił się z szacunkiem. Jeżeli mu się coś nie podobało, stwierdzał: „Ja tego nie rozumiem, to dla mnie za mądre”. Sam podyktował swój nekrolog: „Żadnych szczegółów, jak najkrócej, tylko, co konieczne”.

Mierzył go wszelki patos i egzaltacja. W *Mgle nad Skaldą* napisał: „Niestety w naszym kraju istniał i wciąż istnieje zwyczaj hałaśliwego wielbienia ojczyzny... O ojczyźnie powinno się mówić jak o kobiecie, którą się kocha. Cicho, dyskretnie, bez hałasów”.

Człowiek, który ostatnie dwadzieścia lat spędził wśród szarości i smutków, tęsknił do kolorów. „Mam słabość, Błażejku, do ludzi, którzy żyją inaczej niż im nakazują gubernatorzy... Każda stolica ma własny poczet odmieńców, dziwaków, wagabundów, oryginałów i wolnych duchów... A skąd się biorą odmieńcy? Nie wiem, doprawdy nie wiem. Może tu wchodzi w grę mutacje psychiczne, może jakieś bodźce z zewnątrz, a może echa minionych wieków” (*Kaskada Franchimont*). Uwielbiał też Zambrzycki *curiosa* innego rodzaju, studiował np. wszystko, co dotyczyło małych państweczek – bawiło go to niesłychanie i pasjonowało; napisał książkę o nieistniejącym już dziś groteskowym państwie Moresnet, maszynopis zaginął w ostatniej wojnie.

Śmiał się z anegdot i plotek historycznych, zbierał książki i materiały na ten temat. Był ornitologiem i numizmatykiem-amatorem. Polował na dziwactwa obyczajów, religii i etnografii. Za dobry, serdeczny, pomysłowy, niejadowity dowcip potrafił ucałować obcego na ulicy. Zamierzał napisać żartobliwy *Słownik absurdu*. Filozofię swego dowcipu, który nazwał *zwanze*, wyłożył w *Kaskadzie Franchimont*: „Prawdziwe *zwanze* powinno być bezinteresowne, zatajone, wytworne i zabawne. Innymi słowy jest to wysublimowany żart, dla większości ludzi niezrozumiały, a tak osobisty, że pozostawia radość na całe życie”.

Tak więc, o ludzie, zrzućcie z serca pychę, unikajcie patosu, bądźcie optymistami, kochajcie dziwactwa, sprawiajcie radość bliźnim. No co, zwyczajna sprawa!